

Fragment relacji świadka historii



JAN KOZAK

ur. 1955, Dzierżoniów



Jan Kozak wspomina ojca – Józefa Kozaka

Mój tato pochodzi ze Świętokrzyskiego, z małej wsi Lisów niedaleko Kielc. Tam się wychowywał, tam miał swoje marzenia. Marzył o tym, żeby być lotnikiem. Ale wiadomo, że na to potrzebne były pieniądze. A potem przyszła wojna i ojciec się zaangażował. Najpierw został zaprzysiężony jako żołnierz Armii Krajowej i prowadził normalne życie. Tylko na określone akcje zbierali się albo w Chmielniku, albo w Busku-Zdroju. Ale potem ojciec został razem z grupą innych ludzi aresztowany. Najpierw siedzieli na posterunku policji w Piotrkowicach, potem ich przewieziono do więzienia w Kielcach. A stamtąd, gdy wsadzono ich do wagonów, gdzieś wyjechali. W okolicach Częstochowy wyłamali w jednym z wagonów deski i uciekli.

No i ojciec już wtedy do domu nie wrócił. Poszedł do lasu i już do końca okupacji był w lesie. Miał bardzo specyficzną rolę. Był wśród tych, którzy wykonywali wyroki sądów podziemnych. Opowiedział mi, jak pojechali na pierwszą egzekucję do Chmielnika. Kobieta, która wydawała Żydów, została najpierw ostrzeżona, że jak będzie kontynuować tę działalność, to ją spotka kara. Robiła to dalej i posłali trzech „pistoletów”. Ojciec został na podwórzu. To było wewnętrzne podwórze, tak zwana „studnia”. Ci dwaj poszli na górę i w tym momencie na podwórko weszła jakaś kobieta. Zobaczyła ojca i podeszła do niego. Zapytała, czy tu mieszka i podała jakieś nazwisko. Ojciec powiedział, że nie wie. – *A to nic, to ja pójdę.* To była ta kobieta. Wyczuła pismo nosem i uciekła. Ale i tak ją dopadli miesiąc czy półtora miesiąca później i wykonali wyrok. To się mocno na psychice ojca odcisnęło. Pamiętam, jak się w nocy z krzykiem budził. Schorowany człowiek, no ale zrobił to, co zrobił i tyle.

Potem wojna się skończyła. Został w Lisowie. No ale jak zobaczył, że zaczynają aresztować kolegów z jego oddziału i z innych, uciekł. Najpierw do Częstochowy. Tam był jakieś pół roku. Z Częstochowy do Gdańska. Z Gdańska do Szczecina i dopiero ze Szczecina przyjechał tutaj, do Dzierżoniowa. I dopiero gdy Stalin zmarł, dziękować Bogu, zaczęło się wszystko uspokajać. I tu już prowadził spokojne, normalne życie.

Brat ojca, Jan, mój chrzestny, całą wojnę był internowany na Węgrzech. Z nim też związana jest ciekawa historia, bo to był jedyny w rodzinie bardzo dobrze wykształcony człowiek. Był inżynierem. A skąd to się wzięło? Lisów był własnością dziedziczki z bogatej rodziny. I była tam szkołka, do której chodziły dzieci z Lisowa. Dziedziczka wybierała tych mądrzejszych, tych co się dobrze uczą i brała do siebie do dworu. Tam ich kształciła jeszcze wyżej. Wybrała również brata ojca. Tam łyknął bakcyła nauki. Po wojnie wykształcił się na inżyniera. Pracował w Gliwicach. Jestem jego imiennikiem.

Ojciec był patriotą. Przeniósł to na nas wszystkich. Bogusia, moja siostra, brat i ja mamy te wartości. Polska i tyle. Może różnimy się, jeśli chodzi o poparcie dla określonych partii politycznych, ale Polska jest najważniejsza. Ojciec zmarł 30 grudnia 2001 roku. Pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Dzierżoniowie. Ojciec chorował, całe życie był na rencie. Był z nami, z trojgiem dzieci, cały czas w domu. Opiekował się nami, robił posiłki. No i przekazywał pewne rzeczy. Chodziłem wtedy do szkoły i wiadomo, jak to wyglądało, jaki był wtedy przekaz historii. A ojciec prostował w domu te nieprawdziwe informacje. Pamiętam to jak dziś. Gdy przeczytałem jakiś zupełnie durnowaty artykuł na temat bohatera Związku Radzieckiego, który dokonał nieprawdopodobnych rzeczy. I z takim zachwytem

pobiegłem do ojca, opowiadałem mu o tym. Ojciec tylko zaczął się śmiać i może nieładnie powiedział, ale że *na koniec robił kupę pomarańczami*. Mówił, żebym nie wierzył we wszystko, żeby szukać w różnych źródłach.

Z rodziną byliśmy blisko. Co roku jeździliśmy w Kieleckie. Jeśli chodzi o Lisów, to jest jeszcze jedna ciekawa rzecz do wspomnienia. Tam jest ładny kościół, a jedna z kaplic została ufundowana i utrzymywana przez Królestwo Holandii. Królowa holenderska często tam przyjeżdża. A dlaczego? W sąsiedniej wsi Maleszowa majątkiem władał właśnie Holender, ktoś z jej rodziny, i on jest tam pochowany. Dowiedziałem się o tym niedawno, gdy zobaczyłem odnowioną kaplicę. Powiedzieli mi, że była królowa.

Wzorce ojca były proste. Tak jak przysięga żołnierzy AK: nie szczeniść zdrowia i życia, tyle. Tak więc człowiek miał te wartości przekazane. Drugie to wiara. Ojciec był człowiekiem mocno wierzącym. Też uczestniczył w życiu kościoła świętego Jerzego w Dzierżoniowie. Śpiewał w chórze kościelnym. Był członkiem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. Może to nie była fajna organizacja, gdzie ogromną przewagą mieli czerwoni, ale ojciec wykorzystywał to w taki sposób, że wciągał do organizacji sporo ludzi z Kieleckiego, których znał, żeby mogli dostać jakieś dodatki do emerytur czy do rent. Może to nie były jakieś duże pieniądze, ale zawsze.

No i zmarł. I pewnych rzeczy teraz człowiek żałuje, bo rozmawialiśmy wiele razy. Nawet ojciec raz próbował spisać swoje wspomnienia. No ale rozbabrał to i zostawił. A trzeba było właśnie to wymusić na nim, pospisywać wszystko. Pamiętam, jak byliśmy w Chmielniku, to ojciec pokazywał, w których miejscach się spotykali ci żołnierze, jeszcze jak żyli normalnie, pod kościołem na stopniach. Tak więc człowiek się naoglądał i nasłuchał. Jeszcze ojciec opowiadał, że jak był rozkaz Okulickiego o rozformowaniu Armii Krajowej, to oni całą broń, którą mieli, i długą, i krótką, do beczek ze smarem wsadzili i gdzieś to zakopali. W stanie wojennym chciałem to wykorzystać. Mówiłem: *Tata, powiedz, gdzie? To się przyda*. Nie, nie powiedział. I dobrze. Jeszcze jakaś głupota by człowiekowi do łba strzeliła. Ale był dumny. Mówił, że miał rewolwer belgijski fm i stena brytyjskiego, pistolet maszynowy. Jak siedzieliśmy i rozmawialiśmy, to mówił, że gdyby zasłonić mu oczy, on by z zasłoniętymi oczami rozebrał i złożył ponownie tę broń.

Trochę mu pamiątkowych medali przyznali, ale żadnego chlebowego. Były tylko pamiątki, między innymi Krzyż AK. Wiadomo, ciężkie życie było, w domu się nie przelewało, w sklepach też mało co można było kupić. Tak więc było sztukowanie, dosłownie, żeby miesiąc przeżyć, bo spora część pieniędzy szła na lekarstwa dla ojca. Wtedy w aptekach nie było dobrych leków. Na ulicy Krasickiego w Dzierżoniowie mieszkał Żyd, u którego można je było kupić za spore pieniądze, niestety. No i ojciec się w ten sposób ratował. Ale przeżyliśmy jakoś wszyscy.

Jak propaganda komunistyczna mówiła źle o Armii Krajowej i pokazywali zdjęcia jakichś brudasów poobdzieranych, którzy chlali, to ojca szlag trafiał, bo za picie można było dostać kulę. Nie wolno, absolutnie. A jeśli chodzi o wymarsz na akcje, to w pełnym umundurowaniu żołnierza polskiego. To nie było tak jak w tym serialu niemieckim „Nasze matki, nasi ojcowie”. Denerwowało to ojca bardzo, naprawdę bardzo, że to było tak przedstawiane.

Nie pamiętam nazwiska dowódcy tego oddziału, ale pseudonim miał „Mierzwa”. On uczestniczył już po wojnie w tym sławnym odbiciu więźniów z więzienia w Kielcach, bo tam jego brata zamknęli. Zebrali kilkunastu ludzi, poszli na to więzienie, odbili i wszystkich wypuścili. To jest ten żal, że wtedy nie zmuszałem ojca, żeby te swoje wspomnienia spisał, z danymi osobowymi, no bo warto przecież, bo pamięć jest ulotna. Uciekają niektóre rzeczy.

Data i miejsce nagrania: 4 maja 2023, Bielawa

Rozmawiała: Beata Hebzda-Sołogub

Redakcja: Jadwiga Horanin